

Twórca bestsellerowych thrillerów:
OFICERA I SZPIEGA, KONKLAWĘ i AUTORA WIDMO

ROBERT
HARRIS

PRZEPAŚĆ

Przełożył ANDRZEJ SZULC

ALBATROS

Tytuł oryginału:
PRECIPICE

Copyright © Canal K 2024
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2025

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Glenn O'Neill

Opracowanie graficzne okładki polskiej i przygotowanie do druku:
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcia na okładce: © Roy Bishop/Arcangel; © lee avison/Arcangel;
Getty Images; Shutterstock

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Późnym rankiem w czwartek na początku lipca 1914 roku pewna młoda dama z mokrymi ciemnymi włosami podążała różnym krokiem znad jeziora Serpentine w Hyde Parku w stronę Marylebone. W jednej ręce trzymała kremowy lniany kapelusz, w drugiej mokry kostium kąpielowy i zawinięte w niebieski ręcznik jedwabne pończochy.

Choć najwyraźniej jej się spieszyło, nie biegła – Oxford Street była na to zbyt gorąca i tłoczna, a poza tym okazywanie pośpiechu nigdy nie było w jej stylu. Ale szła szybko, wysoka, smukła, z podniesioną głową i z takim zdecydowaniem na twarzy, że większość przechodniów instynktownie schodziła jej z drogi.

Minęło już południe, kiedy skręciła za rogiem i ruszyła w stronę okazałej rezydencji w stylu georgiańskim, w której mieszkali jej rodzice, gdy przebywali w Londynie. Listonosz doręczył tam właśnie pocztę i stojąc na schodkach przed otynkowanym na biało budynkiem, zaglądał do swojej torby.

Zdążyła akurat na czas.

Przeszła przez ulicę, ominęła pod portykiem listonosza i życząc mu dobrego dnia, weszła przez szerokie frontowe drzwi do pogrążonego w półmroku, dusznego holu.

Poczta nadal leżała w drucianym koszyku.

Zanim z głębin domu wyłonił się służący, by zanieść listy jej ojcu, kobiecie udało się wyłowić znajomą kopertę. Zasłoniła list kapeluszem, podała służącemu resztę korespondencji i ruszyła na górę.

– Jak ci się pływało, kochanie?! – zawołała z pokoju porannego lady Sheffield.

– Bosko! – odrzyknęła, nie zwalniając kroku, jej córka, która była już w połowie schodów.

Zamknęła drzwi do swojego pokoju, rzuciła na podłogę kostium kąpielowy, położyła na toalecie kapelusz, ściągnęła przez głowę sukienkę i padła na łóżko.

Leżąc na plecach, wzięła w obie dłonie list.

*Sz.P. Venetia Stanley, Mansfield St. 18, Portland Place,
Londyn, W.*

Wcisnęła palec pod klapkę koperty, rozerwała ją i wyciągnęła złożony na pół arkusz papieru. List datowany był tego samego dnia.

2 lipca 1914

Dziś rano jestem w lepszym nastroju – głównie dzięki Tobie. Mam nadzieję, że wczoraj nie wprawiłem Cię niepotrzebnie w przygnębienie. Byłaś bardzo miła i sympatyczna i jak zwykle mi pomogłaś. Jestem Ci za to z całego serca wdzięczny. Przypuszczam, że w tym momencie pluskasz się w wodzie w towarzystwie lady Scott. Mnie czeka dość ponury dzień, w tym rozmowa z królem o 16.30. Lady Otoline zaprosiła mnie dziś na kolację, więc może Cię tam zobaczę... Błogostawię Cię, kochanie.

List był niepodpisany. Ostatnio pilnował się, by nie używać ani jej imienia, ani swojego.

Przeczytała go ponownie. Nadawca oczekiwał natychmiastowej odpowiedzi i zamartwiałby się, gdyby jej nie dostał, choć odkąd widziała się z nim wczoraj, nie przydarzyło się nic ważnego. Położyła list na toalecie, usiadła, przejrzała się bez zbytniego zainteresowania w lustro, wzięła kartkę papieru, zdjęła skuwkę z wiecznego pióra, chwilę się zastanawiała, po czym zaczęła szybko pisać.

Wróciłam właśnie z Hyde Parku, gdzie pływałam z Kathleen w Serpentine. Moja powolna żabka nie umywa się ani trochę do jej energicznego kraula. Co ciekawe, udało nam się spędzić wspólnie całą godzinę bez żadnej wzmianki o jej zmarłym mężu ani nawet o biegunie południowym. To chyba rekord. Nad Serpentine było sporo ludzi, ale woda była cudownie chłodna. Jakież mamy wspaniałe lato! Prawie tak samo upalne jak trzy lata temu. Tak się cieszę, że jesteś w pogodniejszym nastroju. Znajdziesz wyjście z tego irlandzkiego rozgardiaszu, zawsze jakieś znajdujesz. Nie mogę, najdroższy, przyjść dziś wieczorem do Ottoline, bo obiecałam Edwardowi i Kozakowi, że popłynę z nimi w nocy z Westminsteru do Kew. Wiesz, że wolałabym być z Tobą. Ale zobaczymy się jutro. Wyrazy miłości.

Mimo że pisała szybko, jej charakterystyczne kaligraficzne pismo było równie wyraźne jak druk. Ona również się nie podpisała. Chuchnęła na lśniący czarny atrament, zaadresowała kopertę – Sz.P. Premier, Downing Street 10, Londyn, S.W. – nalepiła na nią jednopensowy znaczek i zadzwoniła na pokojówkę Edith, dyskretną niemieckojęzyczną Szwajcarkę, żeby wrzuciła list do skrzynki pocztowej. W 1914 roku w

Londynie pocztę dostarczano dwanaście razy dziennie. List powinien trafić do rąk adresata późnym popołudniem.



Jego odpowiedź dotarła o ósmej, kiedy schodziła do holu, by przywitać się z Maurice'em Baringiem, który miał jej tego wieczoru towarzyszyć. Usłyszała ciche stuknięcie w skrzynce na listy i kątem oka dostrzegła podchodzącą do drucianego koszyka Edith.

– Witaj, drogi Maurice – powiedziała, podając mu rękę.

Był bogatym, łysiejącym czterdziestoletnim literatem, z publikacjami na koncie (w 1905 roku wydał tomik poezji *Forget-me-Not and Lily of the Valley* – obecnie, niestety, zapomniany). Miał na sobie biały frak z czerwonym goździkiem w butonierce i białym krawatem. Kiedy nachylił się, by ucałować ją w dłoń, jego miękkie wąsy musnęły jej nadgarstek i poczuła subtelny limonkowy zapach pomady.

Lady Sheffield, zdezorientowana postępowym stylem bycia córki i obawiająca się, że niełatwo jej będzie w wieku dwudziestu siedmiu lat wyjść za mąż, zapytała ją wcześniej, czy na pewno będzie z nim „bezpieczna”.

– Och, mamó, z Maurice'em byłabym bezpieczna, nawet gdybyśmy trafili nago na bezludną wyspę.

– Venetio!

– Ale to prawda!

Edith zaczekała, aż Venetia przestąpi próg, i udając, że poprawia jej suknię, wsunęła ukradkiem list w jej dłoń. Venetia otworzyła go, siedząc z Maurice'em z tyłu jego samochodu. W nagłówku widniała godzina 16.15, co oznaczało, że premier musiał go napisać albo zanim wyjechał z Downing Street na spotkanie z królem, albo w pałacu, czekając na audiencję.

Jeśli możesz, ukochana, nie wypływaj z nimi nocą w ten piekielny rejs, lecz przyjdź do Ottoline. Może zjadłabyś tam z nami kolację? Byłoby tak miło. Jeśli to jednak niemożliwe, mam nadzieję, że zobaczymy się później. Postaraj się. Zawsze Twój.

Zmarszczyła czoło. *Piekielny rejs...* Premier mógł mieć rację. Odkąd została zaproszona na tę imprezę, sama miała sporo wątpliwości, choć z innych powodów niż on. Problem z przyjęciami na statku polegał na tym, że łatwo na nie wejść, ale o wiele trudniej z nich wyjść, a niczego nie nienawidziła w życiu tak bardzo jak poczucia, że wpadła w pułapkę.

Maurice musiał zauważyć, że jej wyraz twarzy się zmienił.

– Kłopoty z wielbicielem? – zapytał.

– Dobrze wiesz, że nie mam żadnych wielbicieli.

– Och, nie byłbym tego taki pewny...

Nie przejęła się zbyt tonem Maurice'a ani towarzyszącym jego słowom krzywym uśmieszkiem. Dobry Boże, czyżby zwlekała z zamążpójściem tak długo, że nawet on uznał, że może się ubiegać o jej rękę?

– Pewnie jest już za późno, żeby darować sobie tę wycieczkę statkiem i wybrać się zamiast tego do lady Ottoline? – spytała.

– Co ty opowiadasz? Lady Ottoline nas nie zaprosiła. Poza tym na rzece będzie świetnie. Wszyscy tam będą.

Mówiąc o wszystkich, miał na myśli Koterię, jak nazywali się sami, albo Zdeprawowaną Koterię, jak wołała nazywać ich prasa – dwadzieścioro kilkoro znajomych (ich liczba wahała się w zależności od tajemniczego zbiorowego osądu w kwestii tego, kto jest „zabawny”, a kto „nudny”), którzy chodzili razem do Café Royal, czasami do teatrów rewiowych i na mecze bokserskie na East Endzie, a najczęściej do Cave

of the Golden Calf, nocnego klubu, mieszczącego się w podziemiach w pobliżu Regent Street.

– No tak – odparła z powątpiewaniem. – Pewnie wszyscy tam będą. – Schowała list do torebki i zamknęła ją.

Nie należała do głównych postaci Koterii. Nie piła tak jak sir Denis Anson, młody baronet, który był w stanie opróżnić dwie butelki szampana, zanim jeszcze zaczął się wieczór, i nie narkotyzowała się jak lady Diana Manners („najpiękniejsza kobieta w Anglii”), która uwielbiała wdychać chloroform. Nie była intelektualistką jak Raymond Asquith, którego ojciec, premier, był autorem listu znajdującego się w jej torebce, ani niezależną milionerką, jak dziedziczka firmy armatorskiej, zaledwie osiemnastoletnia Nancy Cunard. Przystała do nich, by się nie nudzić, żeby denerwować matkę i ponieważ nie szokowało jej nic, co robili. Przyciągało ją do nich coś jeszcze; nie nazwałaby tego cynizmem – choć Raymond, najinteligentniejszy i najstarszy z nich, z całą pewnością był cynikiem – lecz dziwnym dystansem do życia. Miała wrażenie, że tak naprawdę nic nie ma znaczenia: ani oni, ani świat, ani ona sama. Wszyscy dzielili z nią chyba to poczucie.

W tym właśnie znajomym duchu apatii poddała się temu, co może przynieść noc, przemieszczając się w cichym, luksusowym kokonie należącego do Maurice’a rolls-royce’a silver ghost. Najpierw pojechali do ambasady rosyjskiej przy Belgrave Square, na kolację wydawaną o szóstej przez syna ambasadora, Constantine’a „Kozaka” Benckendorffa, który razem ze szwagrem Raymonda, Edwardem Hornerem, organizował rejs Tamizą; potem w tym samym rolls-roycie nad rzekę, gdzie dojeżdżali z innych przyjęć pozostali goście – łącznie szesnaście osób, które wysiadały z samochodów i taksówek: Claud Russell i Duff Cooper, dwaj dyplomaci z Foreign Office, każdy ściskający w ręce zwędzoną ze stołu matki

Duffa butelkę bollingera; siostra Duffa, Sybil Hart-Davis, oraz Iris Tree, modelka i aktorka, często i chętnie rozbierająca się; Jasper Ridley, adwokat, który ożenił się z siostrą Kozaka; dalej oczywiście Raymond z żoną Katharine, a także jej brat Edward Horner, kolejny młody adwokat...

Schodząc na oczach zaciekawionych gapiów po kamiennych stopniach z Embankment na Westminster Pier, obejmowali się, całowali i powtarzali, jak świetna czeka ich zabawa – młode kobiety niczym rajskie ptaki, w jaskrawych kolorowych sukniach, a przy nich monochromatyczni mężczyźni we frakach, cylindrach i białych krawatach. Venetia szła razem z nimi, unosząc lekko w obu dłoniach zieloną jedwabną suknię, żeby nie szorować jej skrajem po ziemi.

Statek o nazwie *King* był bardziej okazały, niż się spodziewała: długi wiktoriański parowiec mógł pomieścić pięćdziesięciu pasażerów. Między tylnym i przednim pokładem, nad którymi rozwieszono kolorowe chińskie lampiony, wznosił się wysoki komin. W oleistej czarnej wodzie odbijały się żółte, zielone i różowe światła. Noc była gorąca – jasna, bezwietrzna, z księżycem w pierwszej kwadrze. W centralnej kabinie Venetia widziała stoły zastawione półmiskami z jedzeniem, między którymi stały butelki szampana w wiaderkach z lodem oraz kandelabry. Kwintet muzyków z orkiestry Thomasa Beechama z Covent Garden grał przebój tego lata, *By the Beautiful Sea*, a Big Ben z podświetlonym niczym drugi księżyc okrągłym żółtym cyferblatem wybijał właśnie jedenastą.

Denis Anson pierwszy wbiegł po trapie na pokład, zawrócił przy jednym ze słupków, na których rozwieszono lampiony, i wdrapał się na reling. Przez chwilę na nim kucał, a potem powoli się wyprostował i kołysząc się między pokładem a rzeką, rozłożył ramiona i odzyskał równowagę. Widzowie na brzegu rzeki zaczęli bić brawo. Denis obrócił się ostrożnie

i zaczął iść w stronę rufy; stawiał uważnie stopę przy stopie niczym linoskoczek. Kiedy dotarł do końca, obrócił się ponownie w stronę nabrzeża i stał tak przez piętnaście sekund na tle rzeki i światła przeciwległego brzegu, kołysząc się na skraju katastrofy.

– Och, Vinny! – zawołała Diana. – Popatrz na Denisa! Nie może być aż tak pijany!

– Jest bardzo pijany – stwierdziła Venetia. – W przeciwnym razie by tego nie robił.

Denis podniósł nagle ręce, po czym spadł z relingu na pokład i zniknął im z oczu. Wszyscy z wyjątkiem Venetii śmiali się i go oklaskiwali.

Cóż za beznadziejny młody nudziarz, pomyślała i w tym momencie podjęła decyzję.

– Maurice, strasznie mi przykro, ale nie czuję się najlepiej. Wybaczysz mi, jeśli daruję sobie ten rejs?

– Och, nie! Naprawdę musisz? Co za szkoda... – Maurice rozejrzał się.

Inni ustawiali się w kolejce, żeby wejść na pokład. Widziała, że ma wielką ochotę do nich dołączyć, ale był dżentelmenem i nie mógł zostawić jej samej.

– Powiem tylko wszystkim i odwiozę cię do domu – powiedział.

– Nie, płyn z nimi. Nie chcę ci zepsuć wieczoru. Mogę poprosić twojego szofera, żeby mnie odwiózł?

– Oczywiście... jeśli nalegasz.

– Przekażesz moje przeprosiny Conny i Edwardowi? Zadzwoń do ciebie jutro.

Zdała sobie sprawę, że sama jest na lekkim rauszu. Nie oglądając się – nawet kiedy Raymond zawołał ją takim tonem, że zabrzmiało to jak reprimenda – weszła ostrożnie po schodach na Embankment. Czuła się jednocześnie winna i

zadowolona z siebie, tak jakby wychodziła już po pierwszym akcie z marnej sztuki. Za jej plecami syrena parowca wydała krótki ostrzegawczy gwizd. Kiedy Venetia obejrzała się, statek oddalał się już od nabrzeża. Oparła gołe łokcie o chłodną kamienną balustradę i przez chwilę go obserwowała: chińskie lampiony, postacie poruszające się po pokładzie, kwintet muzyków, niosące się po rzece śmiechy i wyraźne słowa piosenki:

*By the sea, by the sea, by the beautiful sea,
You and I, you and I, oh how happy we'll be...*

Została tam do chwili, gdy statek zniknął pod mostem Westminster'skim, a potem zaczęła szukać rolls-royce'a Maurice'a. Pięć minut później sunęła Parliament Street, mijając Downing Street. W głębi ciemnej uliczki żarzyły się czerwone tylne światła samochodu i przyszło jej do głowy, że premier właśnie wrócił z kolacji. Przez ułamek sekundy miała ochotę poprosić szofera, żeby zatrzymał się i pozwolił jej wysiąść, lecz natychmiast się zreflektowała. Była lekko wstawiona. Poza tym to wcale nie musiał być jego samochód. A nawet gdyby, coś takiego było nie do pomyślenia.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ciepła noc z niebem roziskrzonym gwiazdami była krótka. Kiedy o 4.45 słońce weszło nad Londynem, mogło się здаwać, że w ogóle nie zachodziło.

W ekstrawaganckiej wiktoriańsko-gotyckiej fortecy w Westminsterze, tuż przy brzegu Tamizy, znanej pod nazwą New Scotland Yard, na trzecim piętrze okrągłej wieżyczki w południowo-zachodnim rogu, gdzie mieścił się nocny pokój dyżurny Policji Metropolitalnej, młody detektyw sierżant podniósł wzrok znad gazety i zobaczył, że spod krawędzi drewnianych okiennic sączy się dzieńne światło.

Dyżur minął spokojnie. Jego starsi i wyżsi rangą kole-dzy kolejno wychodzili wcześniej do domu i w końcu tylko on pozostał na stanowisku. W małym pomieszczeniu unosił się zapach męskiego potu i stęchłego fajkowego tytoniu. Detektyw sierżant otworzył okiennice, podniósł przesuwne okno, stanął w nim w samej koszuli i niezapiętej kamizelce i ogarnął wzrokiem rozciągającą się przed nim panoramę: promienie słońca migoczące na wezbranych wodach rzeki, skrzeczące mewy, które szybowały nad przybrzeżnymi błotami, budowany na drugim brzegu wielki gmach, w którym pewnego dnia będzie miała siedzibę rada hrabstwa Londyn,

samotny czerwony omnibus toczący się mostem z Waterloo ku budynkom parlamentu i na koniec zacumowany pod nim, przy Westminster Pier, wycieczkowy parowiec z wysokim kominem i pogaszonymi lampionami.

Statek sprawiał smutne, przygnębiające wrażenie.

Wyżej zobaczył na kamiennych schodach kilkanaście elegancko ubranych osób, siedzących nieruchomo, stojących lub opierających się o balustradę – mężczyźni w białych krawatach i frakach, kobiety w wieczorowych sukniach, a także czterech muzyków trzymających futerały z instrumentami. Całej grupy pilnowali dwaj umundurowani posterunkowi. Na Embankment stały cztery zaparkowane samochody, wśród nich jeden rolls-royce. Zbici w gromadkę kierowcy palili papierosy.

Przyglądał się tej dziwnej scenie przez kilka minut, nie wiedząc, co ma o niej sądzić. Nagle, po raz pierwszy od północy, zabrzączał za nim dzwonek telefonu.

Detektyw sierżant odstaąpił od okna, po czym jedną ręką złapał podobny do świecznika mikrofon, a drugą podniósł do ucha słuchawkę.

– Scotland Yard, nocny oficer dyżurny – powiedział głośno i wyraźnie.

– Do kogo się dodzwoniłem? – Głos był męski, z lekko metalicznym podźwiękiem w trzeszczącej słuchawce. Ślad irlandzkiego akcentu.

– Detektyw sierżant Paul Deemer. Kto mówi?

– Wszystko w porządku, sierżancie, mówi nadinspektor Patrick Quinn. Chyba wie pan, kim jestem.

– Tak jest, panie nadinspektorze. – Deemer poczuł, jak instynktownie się prostuje. Quinn był szefem Wydziału Specjalnego, zajmującego się między innymi ochroną ważnych dygnitarzy. Na początku swojej kariery był osobistym ochroniarzem królowej Wiktorii. – Dzień dobry, panie

nadinspektorze.

– Czy jest tam u was jakiś inspektor?

– Jeszcze nie, panie nadinspektorze. Pierwszy pojawi się dopiero o szóstej.

Quinn cmoknął.

– W takim razie niech pan posłucha. Na rzeczonym statku doszło w nocy do fatalnego wypadku. Zaginęli dwaj mężczyźni, prawdopodobnie utonęli.

– Tak jest, panie nadinspektorze.

– Wśród obecnych na pokładzie byli między innymi syn premiera oraz syn ambasadora Rosji. Powiedziano mi, że statek zacumował już przy Westminster Pier. Nazywa się *King*.

Deemer przeszedł z telefonem do okna. Grupa na dole nie przemieściła się.

– Wydaje mi się, że widzę ten statek z okna pokoju dyżurnego, panie nadinspektorze. Czy zaginęli ci dwaj, których pan wymienił?

– Nie, tym dwóm nic się, dzięki Bogu, nie stało. Ale rozumie pan chyba, dlaczego obudzono mnie w domu o tej porze. – Quinn nie wydawał się z tego powodu zbyt zadowolony. – Chcę, żeby ktoś od was zszedł na dół, objął dowodzenie, sprawdził, czy okoliczności wypadku nie wydają się podejrzane, i puścił ich wszystkich do domu, zanim zjawią się reporterzy. Poradzi pan sobie z tym, detektywie sierżancie Deemer?

– Tak jest, panie nadinspektorze.

– Świetnie. Niech pan mi da znać, jak panu poszło. I niech pan pamięta, żeby traktować ich z szacunkiem.

Zanim sierżant zdążył odpowiedzieć, Quinn już się rozłączył.

Deemer zdjął z oparcia krzesła marynarkę, włożył ją, zapiął, poprawił krawat w lustrze nad kominkiem, po czym

polizał palce i wygładził nimi włosy i wąsy. Następnie wziął melonik ze stojaka na kapelusze i zbiegł szybko trzy piętra w dół. Regulamin nie pozwalał zostawiać bez obsady pokoju dyżurnego, ale Deemer dostał rozkaz od nadinspektora, a poza tym był bystry i ambitny. W tragedii na rzece zobaczył dla siebie okazję.

Przeciął rażnym krokiem dziedziniec i lekko zdyszany, z szybko bijącym sercem wyszedł na Embankment. Przy bramie zatrzymał się na chwilę, żeby wyglądać godnie, kiedy będzie przecinał pustą szeroką ulicę i schodził na nabrzeże. Najpierw podszedł do dwóch posterunkowych i okazał im legitymację. Zerknęli na niego sceptycznym wzrokiem. Deemer już wcześniej odkrył, że w służbie w policji z pewnością nie pomaga to, że ktoś wygląda młodo jak na swój wiek.

– No cóż, to tragiczna sprawa – powiedział, starając się sprawić wrażenie kogoś, kto panuje nad sytuacją. – Macie nazwiska zaginionych mężczyzn?

Starszy z posterunkowych wyjął notes.

– Sir Denis Anson i pan William Mitchell.

– Jak to się stało?

– Anson wskoczył do wody.

– Do Tamizy? – Deemerowi wydało się to absurdalne.

– Drugi z zaginionych, Mitchell, skoczył, żeby go ratować, i też wpadł w opałę. Był jednym z muzyków, których wynajęto na ten wieczór. Trzeci dżentelmen, pan Benck... en... dorff... – posterunkowy wymówił to nazwisko, jakby było nieco podejrzane, i wskazał kciukiem młodego mężczyznę, który siedział na stopniach z pochyloną głową i zarzuconym na szerokie plecy kocem – też skoczył im na pomoc, ale zanim do nich dopłynął, obaj zniknęli pod powierzchnią.

Deemer robił notatki.

– Gdzie to się dokładnie wydarzyło? – zapytał.

– Przy moście Battersea. Statek płynął już z powrotem.

– Kiedy?

– Koło trzeciej nad ranem.

– Czy ciała zostały już wyłowione?

– Nadal szuka ich policja rzeczna w Chelsea.

Detektyw sierżant podniósł wzrok.

– Więc nadal jest jakaś nadzieja?

– Nie – odparł młodszy posterunkowy. – Kapitan statku, William White, mówi, że był bardzo silny odpływ. Szukali ich przez godzinę, potem dali sobie spokój. Sądzę, że powinniśmy pozwolić tym ludziom wrócić do domu. Nie popełniono tu żadnej zbrodni, którą mógłby pan ścigać, sierżancie.

– Uśmiechnął się.

– Zebraliście zeznania od wszystkich świadków na pokładzie?

– Mniej więcej. Nie wszyscy to widzieli. Ale ci, którzy widzieli, mówią właściwie to samo.

– Będą mi potrzebne wasze notatki. Zaczekajcie tutaj.

Deemer podszedł do Benckendorffa i przykucał przed nim na piętach.

– Dobrze się pan czuje, proszę pana? Jestem z policji. Mam wezwać ambulans?

Rosjanin podniósł głowę. Jego twarz była blada i pokrywały ją ciemne smugi – prawdopodobnie ropy. Cuchnął nieczystościami.

– Nie, jestem tylko zmęczony.

– Postąpił pan bardzo odważnie.

Benckendorff pokręcił głową.

– Nie, nie, odważny był tamten muzyk. Nie zdołałem się do niego nawet zbliżyć. Nigdy nie spotkałem się z tak silnym prądem... jakby diabeł łąpał mnie za nogi i ciągnął pod wodę...

– Musi pan wrócić do domu, zdjąć z siebie to mokre ubranie i położyć się do łóżka. Nie będziemy pana tu długo trzymać. Który z panów nazywa się Asquith?

Benckendorff wskazał głową w stronę mężczyzny, który leżał na nabrzeżu z nogą założoną na nogę, skrzyżowanymi na piersiach rękami i twarzą zakrytą cylindrem; najwyraźniej spał.

Deemer podszedł do niego i grzecznie odkaszlnął.

– Proszę pana?

Ręka mężczyzny poruszyła się i powoli zdjęła z twarzy kapelusz. Miał jasne włosy, gładko wygoloną pociągłą, wrażliwą twarz i błękitne jak niebo oczy.

– Tak?

– Jestem detektyw sierżant Deemer. Przysłano mnie, żeby się upewnić, że nic panu nie jest.

– Absolutnie nic mi nie jest, sierżancie, dziękuję. To nie o mnie powinien się pan martwić. – Asquith usiadł i rozejrzał się. – Miejmy to lepiej za sobą – rzucił, po czym wstał i strzepnął brud z fraka. – Ktoś musi zawiadomić matkę sir Denisa. Chyba ja powinienem to zrobić. Ale wcześniej chciałbym odwieźć do domu żonę.

– Rozumiem.

W tym momencie większość uczestników rejsu zaczęła podchodzić bliżej, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Lady Diana źle się czuje. Musi się położyć do łóżka – powiedział niski mężczyzna z zaczerwioną twarzą. Jego płaszcz zarzucony był na szczupłe ramiona wspierającej się o niego kobiety. – Jestem zmuszony nalegać, by pozwolono nam odjechać do domu.

– Nie bądź dupkiem, Duff – mruknął Raymond Asquith. – Trzeba przejść odpowiednią procedurę. Daj sierżantowi robić, co do niego należy.

– Sierżancie, wiem, że to, co się przytrafiło Denisowi i temu biednemu skrzypkowi, jest po prostu okropne, ale sterujemy tu już od kilku godzin – poskarżyła się kobieta.

Miała szeroko otwarte, dziwnie nieobecne niebieskie oczy, zupełnie jak lalka. Deemer zastanawiał się, czy czegoś nie zażyła. Ze strony innych uczestników rejsu rozległ się pomruk aprobaty. Detektyw sierżant nie sądził, by zasługiwali na jakieś szczególne względy. Gdyby to zależało od niego, pottrzymałby ich jeszcze na nabrzeżu przez parę godzin. Ale Quinn poinstruował go wyraźnie, żeby odesłać ich do domu, zanim pojawią się reporterzy.

– Tak, są państwo wolni – powiedział Deemer. – Może jednak wyłonić się potrzeba skontaktowania się z państwem i odebrania oświadczeń w późniejszym terminie – dodał szybko, kiedy odwrócili się, żeby odejść. – Poproszę o nazwiska i adresy wszystkich, którzy brali udział w rejsie.

– Mam listę gości, jeśli to okaże się pomocne – oznajmił jeden z młodych mężczyzn.

– Jak się pan nazywa?

– Edward Horner. To ja razem z hrabią Benckendorffem wynająłem ten statek. – Wyjął z wewnętrznej kieszeni fraka pogniecioną kartkę.

Deemer przejrzał szybko listę i oddał mu ją wraz ze swoim ołówkiem.

– Zanim państwo odejdą, proszę wpisać swoje adresy przy nazwiskach – poprosił.

Uczestnicy rejsu zaczęli przekazywać sobie kartkę z rąk do rąk; gryzmołąc na niej swoje adresy, rozmawiali między sobą. Jacyż oni byli egocentryczni! Deemer miał nadzieję, że gdyby zginął jeden z jego przyjaciół i jego ciało nie zostało jeszcze odnalezione, najważniejszą dla niego sprawą nie byłby jak najszybszy powrót do domu.

– Przepraszam! – Musiał podnieść głos i unieść rękę, by zwrócić na siebie ich uwagę. – Jedno ostatnie pytanie, dopóki wszyscy państwo tu są. Sir Denis sam skoczył do rzeki, czy tak? Nie został przypadkiem popchnięty?

– Wielki Boże! – zawołał mężczyzna z zaczerwienioną twarzą. – Co pan sugeruje?!

– No cóż, skok do rzeki wydaje się bardzo nieroztropny. Czy sir Denis był pijany?

– Nie – odparł kategorycznym tonem Raymond Asquith. – Był trzeźwy. Decyzję, żeby wskoczyć do wody, podjął samodzielnie i dobrze ją przemyślał.

Czy w tym momencie rzeczywiście wymieniał porozumiewawcze spojrzenie z lady Dianą, czy Deemerowi tylko się zdawało?

– Był dobrym pływakiem – ciągnął Asquith. – Zanim dał nurka, zostawił na pokładzie zegarek i frak... może pan zapytać kapitana. Takim po prostu był facetem. Kiedy byliśmy w zeszłym roku we Włoszech, przepłynął przez Grand Canal. Niestety – dodał, wzruszając ramionami – Londyn to nie Wenecja.

– Ma pan rację – przyznał grzecznie detektyw sierżant, choć nigdy nie był w Wenecji i w ogóle gdziekolwiek za granicą. – Jestem pewien, że Londyn to nie Wenecja.

Patrzył, jak wchodzi na górę po schodach i pomagają wstać hrabiemu Benckendorffowi. Kiedy wszyscy pożegnali się między sobą i odjechali, wysłał dwóch posterunkowych, żeby spisali notatki, i skupił się na ocalałych muzykach. Twierdzili, że byli zbyt skoncentrowani na grze, żeby zwracać uwagę na to, co działo się wśród pasażerów. W drodze powrotnej zobaczyli, jak Anson skacze za burtę, i przestali grać. Po chwili jeden z pasażerów krzyknął: „Co z tobą, Denis?!”, a potem zawołał: „Szybko! Szybko!”. Wtedy właśnie

ich kolega, Mitchell, podniósł się i zaczął zdejmować marynarkę. Goście na pokładzie stali wszyscy jak sparaliżowani.

– Powiedziałem mu, żeby nie był cholernym głupcem – oświadczył kapelmistrz – ale mnie nie posłuchał. Wskoczył do wody i tyle go widzieliśmy. Zostawił małego, rocznego synka.

– A sir Denis Anson? Z tego, co widzieliście, był trzeźwy? Kapelmistrz chyba po raz pierwszy stracił rezon.

– Tego nie wiemy, panie sierżancie. Wynajęto nas, żebyśmy zapewnili rozrywkę.

Deemer zapisał ich nazwiska i adresy i wszedł na pokład statku.

Kapitan White był emerytowanym oficerem Royal Navy i zbliżał się do sześćdziesiątki. Oprowadził Deemera po całym parowcu od centralnej kabiny po tylny pokład, gdzie wcześniej grali muzycy i gdzie złożono już markizę. W pewnym momencie wskazał reling.

– To tu właśnie wygłupiał się ten dżentelmen – wyjaśnił.
– Stawał trzy razy na relingu i za każdym razem łapałem go za nogę i mówiłem, żeby zszedł. Musiał na niego wleźć ponownie, gdy byłem odwrócony plecami. Kiedy wyłączyłem silniki, był mniej więcej pięć metrów od statku i próbował dopłynąć do niego z powrotem, ale prąd był zbyt silny: jeśli na tym odcinku rzeki mamy odpływ, fala od mostu kolejowego wciąga wszystko pod powierzchnię. Wtedy właśnie do wody wskoczył ten muzyk, a niedługo po nim Rosjanin. Musi być cholernie dobrym pływakiem... to cud, że złapał rzuconą przez nas linę.

– Czy pana zdaniem sir Denis był pijany?

Kapitan wbił wzrok w pokład.

– Trudno powiedzieć.

– Naprawdę, kapitanie! Nikt trzeźwy nie wskakiwałby o

trzeciej w nocy do Tamizy! Co oni pili?

- Głównie szampana. W kabinie zjedli kolację.
- Wróćmy tam.

Kapitan poprowadził Deemera z powrotem. Stół, przy którym jedzono, już uprzątnięto, obrus złożono, a naczynia i sztucce zapakowano do skrzyń. Detektyw sierżant rozejrzał się po kabinie i zmarszczył czoło.

- Mówił pan, że pili szampana – powiedział.
- Tak jest.

– Gdzie są puste butelki?

– Puste butelki? – Kapitan udał, że nie wie, co się z nimi stało. – Panie Lewis! – zawołał na zewnątrz.

W progu kabiny pojawił się pierwszy mat.

– Tak, kapitanie?

– Co się stało z tymi wszystkimi butelkami?

Lewis przez chwilę się wahał.

– Po wypadku panowie wyrzucili je za burtę, kapitanie – odparł w końcu.

Zapadła cisza. Deemer zamknął notes i schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– No dobrze. Co tu się dokładnie wydarzyło? – zapytał. – Powiedźcie mi szczerze albo zabiorę was obu do komisariatu.

White i Lewis popatrzyli na siebie. Kapitan wykonał w końcu taki gest, jakby rzucał karty na stół.

– Ty mu powiedz – zwrócił się do pierwszego mata. – Ty to widziałeś. Ja nie.

– Chodziło o zakład – wyjaśnił Lewis. – Pan Asquith założył się z tą ładną kobietą...

– Z lady Dianą?

– Założył się o dziesięć funtów, że lady Dianie nie uda się przekonać Ansona, żeby popłynął do brzegu. Nie słyszałem, co powiedziała Ansonowi, ale nie trzeba go było długo

przekonywać. Dał jej swój frak i zegarek i po prostu... wyskoczył za burtę.

Deemer popatrzył na kapitana.

– Ma pan jego rzeczy? – zapytał.

White na minutę zniknął i wrócił z frakiem i złotym zegarkiem kieszonkowym. Detektyw sierżant przeszukał frak i znalazł w nim portfel i komplet kluczy. Otworzył zegarek. Na kopercie była inskrypcja:

*Denisowi na 21 urodziny
Rozsądnie korzystaj z czasu
Z wyrazami miłości
Mama*

– Cóż za bezsensowna śmierć – rzucił. – Dwie śmierci.

– Od nas pan tego nie usłyszał – zastrzegł kapitan.

Deemer poczuł się nagle bardzo zmęczony. Opuścił bez słowa kabinę, zszedł po trapie na brzeg i znużonym krokiem wspiął się po schodach na bulwar. Minęła szósta, zrobiło się ciepło i na moście Westminsterkim oraz na Embankment zaczął się poranny ruch.

W pokoju dyżurnym detektyw sierżant usiadł przy swoim biurku i zaczął studiować listę gości. Asquith, Manners, Baring, Cunard, Tree... Przypominało to kolumnę towarzyską w gazecie. Zauważył, że dwaj pasażerowie, Russell i Cooper, wpisali jako adres Foreign Office. Raymond i Katharine Asquithowie napisali, że mieszkają przy Bedford Square 49. Tylko jedna osoba nie podała adresu. Venetia Stanley.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).